



Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków
w Królestwie Polskiem.

5 Ciąg dalszy.

— A on kocha się?
— O ile wiem, nie.
— Tem lepiej dla niego i znów szkoda, że nie nasz.
— Jesteś wrogiem miłości, — zaśmiał się Bal.
— Miłość przeszkadza, wiem coś o tem... i strzeż się, ona rozdwaja i rzuca trwogę w serce o nią.

— Nie sądź, że współczuję z tobą, — mówił Bal. — czego chciałeś, to i masz. *Tu l'as voulu George Dandin*

— Miej zwyczaj, mój kochany, mówić tylko o tem, na czem się znasz, — rzekł pół żartem Porwa.

Na sali zjawił się Kola, elegancki, wyświeżony, z małym białym astrerem w butonierce i z uśmiechem przyjaźni szedł ku siedzącym.

Po przywitaniu spytał go Bal:

— Może zjesz z nami?

— Jestem, po kolacji, ale wypiję z wami kieliszek wina i kawę.

Po zamienieniu kilku słów obojętnych, mówił dalej Kola spokojnie:

— Jutro, skoro robotnicy zejda się do fabryk w dzielnicy Wolskiej, odbędzie się rewizya fabryk.

— Czy już wiedzą? — spytał Porwa.

— Przed godziną powiedziałem Logice.

— Zapewne i naszym powie — dodał Bal, popijając wino.

— Przypuszczam, bo ona chociaż nasza, sprzyja i wam także.

— I ja myślę tak samo... ale „zapewne“ nie wystarczy... Pójdę sam — i Porwa zażądał rachunku.

— Zwolna towarzyszu — uśmiechnął się Kola z przymusem — nie wiecie reszty... Równocześnie z rewizją fabryk, przetrząsną mieszkania robotników.

— Niezły plan, chociaż podły — rzekł Porwa — kto go podał?

— Wystarczy wam, że was zawiadomiłem — odpowiedział Kola i pobrał lekko.

— Macie słuszność... już idę — wstał z krzesła.

— Zaczekaj, pójdę z tobą — zawołał Bal i zadzwonił o rachunek.

— Ty zostań... potrzebujesz sił na jutrzejszą wyprawę... nie biorę ciebie — i podawał rękę na pożegnanie.

— Nie zapomnijcie moich uprzedzić, niech wymkną się boki.

— Wiem — skinął głową i odszedł.

— Dziękuję ci Kola — uściśnął mu gorąco rękę.

— Spełniłem tylko obowiązek. Wy, czy my, o jedno walczymy.

Po dobrej chwili milczenia, odezwał się Kola, dopijając kawy:

— Jeśli to nie jest tajemnicą... co za wyprawa na jutro?

— Przed tobą nie mam sekretu... Jadę do Orowiecka po pieniądze.

— Twoje?

— Nieosobiste... podatek naszego ludu, używany na gnębienie nas.

— Rozumiem... sprawiedliwość jest po waszej stronie, ale bądź co bądź przywłaszczenie jest nieprzyjemną rzeczą.

— Jakie przywłaszczenie!? — zaśmiał się Bal — odbieram swoje. Zważ tylko Kola, że dzisiaj istnieją faktycznie dwa rządy: my i oni. I tamci biorą nasze pieniądze, aby nas gnębić, więc przy nadarzającej sposobności my zabieramy, aby się bronić. Gdyby te pieniądze użyto w celach osobistych, mogłaby być mowa o nadżyciu własności, ale chyba i kraj i ty możecie nam zafać, że na osobiste potrzeby nie weźmiemy i grosza.

— O tem nie wątpię... Kiedyż wybierasz się?

— Jutro po południu będziemy na miejscu, ułożę plan szczegółowy i wracamy z pieniędzmi.

— Byle ze życiem — mruknął Kola.

— Mam wiarę w moje szczęście — uśmiechnął się Bal — ileż razy otarłem się już o śmierć, a jednak żyję. I tym razem wyjdę obronną ręką, znam tamtejsze stosunki, bo jestem z tamtych stron. I wyobraź sobie Kola, jaki to tryumf wziąć kasę pod bokiem piechoty, dragonów i strażników.

— Weź mnie ze sobą — zabłyśły oczy Koli — tak mi ciężko i nudno... odetchnę, zobaczę inny świat, innych ludzi.

— Kola! — spojrzał mu bacznie w oczy — ale to nie przelewki, kule mogą gwizdać... no i trafić.

— Tem lepiej — zaśmiał się — jadę z tobą, gdzie się spotkamy?

— Na stacyi petersburskiej o dziesiątej.

— Dobrze, więc rzecz ułożona?

Bal w odpowiedzi skinął głową i w jakiś czas później rozstali się.

III.

Przed spotkaniem się na dworcu kolejowym podzielił Bal towarzyszy wyprawy na dwie części. Osmia pod dowództwem Młota miało wysiąść w Czyżewie i rozdzieliwszy się przyjechać do Orowiecka farmankami. Znowu sześciu pod kierunkiem Marcelka, znającego miejscowość, wysiadą w Szczepietowie, stacyi przy Orowiecku.

Obie partie spotkają się z zachowaniem ostrożności na rynku miasteczka i tam otrzymają dalsze polecenia.

Bal, jako naczelnik wyprawy, siadł razem z Kola do pociągu pospiesznego, aby wyprzedzić towarzyszy o dwie godziny i mieć więcej czasu na obmyślenie szczegółów.

Gdy znaleźli się w przedziale drugiej klasy, Kola zdumiony objętością knferka podróżnego, spytał z uśmiechem żartobliwym:

— Ileż garniturów wiesz na dwa dni?

— Na razie jeden kostyum i trochę podarunków dla sióstr i szwagra.

— I do nich zajedziemy?

— Wysłałem depeszę, konie będą czekały w Czyżewie.

— Czy należą do partyi? — spytał Kola po chwili.

— Także myśl! — zaśmiał się — mój szwagier Żęgielski, szlachcic, właściciel, co najwyżej

będzie endkiem i naturalnie jego żona. Tylko Wanda, młodsza moja siostra, jest oddana naszej partyi.

— I pracuje?

— Na razie sympatyzuje tylko, za młoda, ma osmnasty rok.

Po dłuższym milczeniu spytał zamyślony Kola:

— Nie boisz się ich narazić?

— Zachowam wszelkie ostrożności, a gdyby... gdyby... to trudno — interes partyi jest ważniejszy... Czy zaawazyłeś tych dwóch towarzyszy, którzy mnie żegnali na peronie skinieniem głowy?

— Widziałem ich twarze, tacy się nie zawahają. Czy są uzbrojeni?

— Wszyscy.

— Stachaj Bal... oni są zdecydowani zabijać.

— W ostateczności i ja i oni.

— Dla pieniędzy, — szepnął z goryczą.

— Dla partyi — rzekł Bal ostrzej, a po chwili dodał łagodniej — nie sądź Kola, że krew robi mi przyjemność, ale gdy idzie o wybór pomiędzy wolnym człowiekiem, świadomym swych praw i celów a niewolnikami, nigdy się nie zawaham.

— Jedynie w obronie własnego życia usprawiedliwiam zabójstwo, w każdym innym razie jest zbrodnia.

— Nie mamy o co się spierać... zgadzam się z tobą.

Konie w Czyżewie czekały i po godzinnej jeździe ujrzały w łagodnych promieniach jesiennego słońca szeroko rozłożoną wieś.

Chaty tonęły w zieleni drzew, a na ornych polach migotały jaskrawe ubrania kobiet, kopiących kartofle, baraki, gdy znów mężczyźni orali, brono wali i siali oziminy.

Od czasu do czasu wśród tej wiejskiej ciszy odezwało się przeciągłe ujadanie psa, stłumiony poryk bydła, nawołujące głosy ludzkie i znów zapadała cisza, tak, że dwaj jadący słyszeli tylko turkot powozu swego.

Dojeżdżali już do dworu, otoczonego starymi drzewami, gdy w alei poza lipami i krzewami błysnęła sukienka biała i za chwilę na drodze przed końmi stanęła młoda dziewczyna, dając znak stan-gretowi, aby stanął.

— Wandy! — zawołał Bal i wyskoczywszy z powozu, szedł ją witać.

Wysiadł Kola i zbliżał się zwolna do rozmawiających.

— Kto to? — spytała szeptem.

— Mój przyjaciel — i prezentował oboje.

Wanda spojrzała śmiało w oczy gościa, z tym odcieniem obojętności, gdy pierwszy raz widzimy obcego, usłyszawszy jednak rosyjskie nazwisko, chciała przyjrzeć mu się bliżej i spotkała jego bawdawe oczy. Te czarne z aksamitnym połyskiem oczy stropiły ją, zastłoniła swoje, że aż cień padł od wielkich rzęs i zwróciła się do brata:

— Czekamy z obiadem, — lecz frazes ten wydał się jej tak banalnym, że zarumieniła się i dodała:

— Chodźmy!

Po kilku formalnych pytaniach i odpowiedziach o zdrowiu siostry i szwagra, powiedziała Wanda z lektym naciskiem:

— Umyślnie wysłałam na spotkanie twoje Władku.